

Wywiad z Dionizą Choroś, Romualdą Waluszewską (Sokalską), Stefanią i Józefem Zawadami, Nowa Zelandia

Ks. Andrzej Chibowski: Pani Dionizo, kiedy była Pani ostatnio w Polsce?

Dioniza Choroś: W 2005 roku. Otrzymałam w Polsce odznaczenie od ministra Adama Daniela Rotfelda. Uroczystość odbyła się w Belwederze. Wręczono odznaczenia dla 17 osób z różnych krajów. Moje odznaczenie znajduje się w Domu Polskim w Wellington. Był tam również Janek Mela – pierwszy niepełnosprawny zdobywca biegunów północnego i południowego. Powiedziałam mu: *Tak się cieszę ze spotkania. Czytałam o Panu w Gazecie Polskiej.*

Ks. Andrzej Chibowski: Jak Pani zapamiętała rodziców i czas dzieciństwa spędzonego na Kresach?

Dioniza Choroś: Tato pochodził spod Kielc. Urodził się w 1898 roku. Ukończył studia przyrodniczo-matematyczne w Petersburgu, bo pod zaborem rosyjskim uniwersytety polskie były zamknięte. Ojciec brał udział w wojnie bolszewickiej. Został ranny. Po prawie półtora roku wrócił z niewoli. Otrzymał ziemię we wsi Szczurzyn na Wołyniu i został osadnikiem. Tam poznał mamę. Rodzice pobrali się we wrześniu 1923 roku. Rodzice mamy - Klemens i Emilia Kamińscy – pracowali na roli. Długo nie mieli potomstwa. Po wielu latach urodziła się moja mama. Dziesięć lat później przyszło na świat jeszcze dwójka jej rodzeństwa.

Moi rodzice mieli pięcioro dzieci: Bronisławę, Halinę, mnie Dionizę, Bogusławę i syna, który umarł w wieku dwóch miesięcy. Rodzice ciężko pracowali. Starsze rodzeństwo zajmowało się młodszym. Każdego wieczoru cała rodzina klękała do modlitwy.

Ks. Andrzej Chibowski: Jakie relacje panowały między Polakami a Ukraińcami?

Dioniza Choroś: Ukraińcy byli niezbyt dobrze ustosunkowani do Polaków. Kiedy osadnicy wojskowi otrzymywali ziemię to Piłsudski chciał, żeby na tych terenach krzewić polską kulturę i pomagać miejscowym. Ojciec potrafił szczepić drzewka i uczył tego ukraińskich sąsiadów. W niedzielne popołudnia na prośbę sąsiadów, którzy nie umieli czytać, ojciec pisał i odczytywał im listy. Najczęściej prosili o umorzenie podatku, bo byli biedni. Polscy osadnicy zbudowali tam nową szkołę.

Ks. Andrzej Chibowski: Jakie były relacje między polskimi i ukraińskimi dziećmi?

Dioniza Choroś: Najlepsze jakie można było sobie wyobrazić. Od kołyski mówiłam po ukraińsku. Dzieci ukraińskie były dwujęzyczne. Mówiły po ukraińsku i po polsku. Moja nauczycielka Ukrainka miała córkę Ninę. Często ją odwiedzałam. Dużo się tam uczyłam. Czytałam *Płomyki* i książeczki. Nauczyłam się czytać i pisać zanim poszłam do szkoły.

Moje dwie siostry były już w wieku szkolnym. Pan Bóg obdarzył mnie zdolnością szybkiej nauki. Przy najstarszej siostrze Broni nauczyłam się recytować Jankiela z „Pana Tadeusza”. Tylko nie potrafiłam odczytywać godziny na zegarku. Czasem rodzice, którzy pracowali w polu prosili mnie, żebym sprawdziła godzinę. Biegnę do domu, patrzę, wracam i mówię: *duża wskazówka jest tu a ta mała tam.* Zapominałam i przekręcałam gdzie były wskazówki i wychodziły dziwolągi.

Raz byłam u pani Seredowicz i ona mówi: *Dyzia, powiedz mi, która godzina.* – *Proszę pani, nie umiem odczytywać godziny.* Ona mówi: *Zrób w domu zegarek z tektury i przynieś jutro.* Wy tłumaczyła mi jak odczytywać godzinę. Byłam uszczęśliwiona, że w końcu nie będą

się ze mnie śmiać, bo już potrafiłam powiedzieć godzinę. Zawsze marzyłam, żeby zostać lekarzem. Bardzo chciałam studiować medycynę.

Ks. Andrzej Chibowski: Pani Romualdo proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

Romualda Waluszewska: Ojciec walczył w Szwajcarii a później służył u Piłsudskiego. Byłam trzy i pół roku na Syberii. Miałam 11 lat, kiedy nas wywieźli. Przeżyłam za dużo. Nie potrafię o tym mówić. Za bardzo mnie to boli. Przepraszam...

Ks. Andrzej Chibowski: Panie Józefie, jak Pan zapamiętał swoje dzieciństwo?

Józef Zawada: Urodziłem się w 1933 roku i gdyby nie zaczęła się wojna, poszedłbym do szkoły. Miałem starszego brata Mieczysława i młodszego Ludwika, który zmarł w Teheranie. Ojciec pochodził spod Sanoka. Kiedy byłem w Polsce odnalazłem rodzinny dom. Mój ojciec służył w armii, która walczyła pod Kijowem. Został ranny podczas wojny bolszewickiej. Jako osadnik otrzymał 11 hektarów ziemi na Wołyniu. Przenieśliśmy się tam tuż przed II wojną światową. To była mała osada. Budowali tam szkołę. Brat ojca również służył z nim w wojsku. Został osadnikiem na sąsiedniej działce i zajmował się rybołówstwem. Razem z ojcem kopali i suszyli torf. Później ojciec prowadził sklep. Wodę czerpaliśmy ze studni. Mieliśmy stodołę, sad, w którym rosły wiśnie, czereśnie. Nasz dom został spalony przez Ukraińców. Zdarzały się zatargi z miejscowymi. Kiedy wkroczyli Sowieci moja rodzina znalazła się na liście wywózek. Wywieźli wszystkich osadników. To są moje wspomnienia z Polski.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy Pana rodzina była religijna?

Józef Zawada: Tak, pamiętam kilka modlitw z dzieciństwa: *Ojcze nasz, Aniele Boży. Do Ciebie Boże nasz oczy swe wznoszę, o zdrowie taty, mamy proszę. Proszę także niech od złego każdego kroku aniołki strzegą.*

Ks. Andrzej Chibowski: Pani Stefania, proszę opowiedzieć o dzieciństwie spędzonym na Kresach.

Stefania Zawada: Niewiele pamiętam z Polski. Moja rodzina pochodzi z lwowskiego. Rodzice i dziadkowie mieszkali pod zaborem austriackim. Mój dziadek ze strony ojca pracował jako gajowy dla hrabiego Platera. Mieszkaliśmy w gajówce. Moja rodzina od dawna mieszkała na Kresach. Mama i tato chodzili razem do szkoły. Oboje urodzili się w roku 1905. Mój dziadek służył w wojsku austriackim i walczył z wojskiem polskim. Austriacy zostali rozbici i ukrywali się w lasach. Wtedy pewien polski oficer powiedział: *Już czas walczyć za Polskę.* Mój dziadek przyłączył się do polskiego wojska i walczył w armii gen. Józefa Hallera. Jego oddział został rozbity. Dziadka aresztowali i zesłali na Syberię. Na Syberii zastała go rewolucja. Przyszli bolszewicy i powiedzieli więźniom, że są wolni. Dziadek wrócił pieszo do Polski przez Rumunię. W czasie I wojny światowej w rodzinie taty prawie wszystkie dzieci zmarły na tyfus. Mój ojciec przeżył.

Rodzice znali się jeszcze ze szkolnej ławki. Oboje mieszkali na Kresach. Pobrali się w 1929 roku. Mieli trójkę dzieci: syna i dwie córki. Mieszkaliśmy we wsi Ostrów. Mama opowiadała, że nie było żadnych starć pomiędzy Polakami a Rusinami, którzy tam mieszkali. Tatusz pracował. Uczył się zawodu kołodzieja. Potem objął stanowisko po swoim ojcu i został gajowym u hrabiego Platera.

Mama była bardzo religijna. Kiedyś zabrała mnie do kościoła. Ksiądz mówił kazanie. Skarcił matki, które nie uczą dzieci pacierza. Pokazał palcem na mnie i powiedział: *Zmów pacierz.* I ja zaczęłam: *W imię Ojca i Syna i Ducha św. Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i „pa-pa” Boziu* na końcu. Ksiądz pochwalił za to moją mamę.

Ks. Andrzej Chibowski: Wybuchła II wojna światowa. Jak Pani zapamiętała ten czas?

Dioniza Choroś: W mojej rodzinie rozmawiało się o polityce. Kiedyś sąsiedzi rozmawiali z ojcem o wojnie w Hiszpanii. My, dzieci nie braliśmy udziału w rozmowach dorosłych. Kiedy sąsiedzi wyszli, zapytałam: *Tatusiu gdzie jest Hiszpania?* Tato zamiast mi powiedzieć wskazał kierunek południowo-zachodni. Później nigdy nie poszłam w tą stronę, bo myślałam, że za miedzą jest Hiszpania.

Słyszeliśmy o tym, że będzie wojna z Niemcami. Wtedy jeszcze nie chodziłam do szkoły, ale z ciekawością słuchałam rozmów dorosłych. Kiedy wybuchła wojna, moja siostra Bronia obchodziła imieniny. Nie świętowaliśmy ich. 1 września 1939 r. cały dzień słuchaliśmy radia. Dla nas na Wołyniu wojna wydawała się daleko.

Tydzień później pojechaliśmy do kościoła. Był pełny uciekinierów z Zachodu. Ojciec i sąsiedzi starali się im pomagać. Dawaliśmy im jedzenie. Nocowali w naszej stodole. Któregoś wieczoru jeden z nich usłyszał w radiu, że Sowieci wkroczyli do Polski. Wtedy wrócili do swoich domów. Powiedzieli, że wolą być pod okupacją niemiecką.

Ks. Andrzej Chibowski: Jak Pani zapamiętała pierwsze dni wojny?

Stefania Zawada: Aresztowali tatę. Niemcy zbombardowali pociąg z amunicją na stacji koło Ostrowa. Słyszałam straszne wybuchy. Bałam się.

Ks. Andrzej Chibowski: A jak Pan Józef zapamiętał ten czas?

Józef Zawada: Pierwszą scenę z wojny jaką pamiętam było bombardowanie stacji. Uciekliśmy do sadu pod drzewa. Pamiętam jak wkroczyli Sowieci. Przez nasze pole jechały czołgi. Nisko latały sowieckie samoloty.

Dioniza Choroś: Sowieci wkroczyli do Polski 17 września, ale do mojej wsi przyszli dopiero 23 września. Pamiętam jak Ukraińcy mówili: *O! Idą nasi ze wszystkich stron!* Poszliśmy ich zobaczyć. Z przodu jechał czołg. Żołnierze wyglądali jak dziady. Byli obdarci, na nogach mieli trzewiki bez sznurowadeł. To była straszna noc. Psy szczekały. Było słyszeć strzały. Sowieci dobijali się do drzwi. Niektórzy im otwierali, inni nie.

Poszliśmy spać. W nocy ktoś dobijał się do naszych drzwi. Wbiegło pięciu żołnierzy. Trzech z karabinami. Weszli do dzieciennego pokoju i kazali ojcu oddać broń. Wszyscy osadnicy mieli jakąś broń. Na początku ich gospodarowania pomagało im to przeżyć, bo polowali na zające, kuropatwy. Kiedy zaczęła się wojna wydano nakaz oddania broni. Mój ojciec już wcześniej oddał rewolwer, który zawsze trzymał pod poduszką i dostał pokwitowanie. Żołnierze przyszli i mówią: *Oddawaj broń.* Ojciec mówi, że zdał broń i pokazuje im pokwitowanie. Nie wierzą w to, chodzą po wszystkich kątach, rozbijają wszystko. Przewrócili łóżka. Przekłuwali pierzyny, poduszki, żeby sprawdzić czy jest tam broń. Poszli do komory gdzie przechowywaliśmy przetwory. Usłyszeliśmy brzęk rozbijanego szkła. Nic nie znaleźli.

Kazali ojcu się ubrać. W naszym domu nocował wtedy znajomy rodziców. Zabrali ich obydwu. Wyprowadzili do ogrodu. Kwadrans później usłyszałam trzy strzały. Później znów trzy strzały. Pies strasznie ujadał. Jeden strzał i wszystko ucichło. Leżałam i myślałam, że strzały pochodziły z daleka.

Wstaliśmy rano. To była niedziela. Czekaliśmy na ojca, żeby pojechać do kościoła. Powiedzieli nam, że jest zebranie w szkole, na którym muszą być wszyscy dorośli. Rano przyjechali konno trzej żołnierze z karabinami i znowu pytali: *Gdzie broń? Dawajcie broń!* My mówimy: *Nie mamy broni.* Kazali nam wyjść na dwór i stanąć pod ścianą. Wycelowali w nas karabiny. Nie wiem czy to był cud od Pana Boga, ale ich szef Marko – znaleźli go -

siedział na dużym, białym koniu, który nagle zaczął skakać do góry i rzeć jakby zwariował. Stoimy pod ścianą. Żołnierze mają wycelowane w nas karabiny. Marko próbował opanować konia i zwierzę się uspokoiło. Znowu każe strzelać żołnierzom, ale koń znowu robi Pan Bóg wie co. Później jak koń się uspokoił, Marko był taki przestraszony i tylko kiwnął głową na żołnierzy i odjechali.

Za chwilę przybiegł Gienek, syn sąsiadów i mówi: *Chodźcie, coś wam pokażę*. Pobiegliśmy do sadu sadu a tam kałuża krwi i dwie czapki: ojca i osadnika, przerwany pasek ojca i zakrwawiona chusteczka. Wtedy dopiero zdałyśmy sobie sprawę, że ojciec został zabity, kiedy słyszałyśmy strzały w nocy. Strasznie rozpaczaliśmy. W tę noc, kiedy zabili ojca, zabili też wielu osadników. Nie potrzebowali powodu. Zabierali z domu, wywozili. Tej nocy najpierw poszli do sklepu, w którym był alkohol. Rozgrabili go. Nie wiem czy byli tak bardzo pijani czy złośliwi. Połowa osadników zginęła.

Po pewnym czasie rozkułaczali rodziny. Zabierali wszystko: żywy inwentarz, zboże. Rodzice mieli 40 uli. We wrześniu ja i siostra poszłyśmy do szkoły. Wracamy i patrzymy a tu leży przewrócony ul i kupka nieżywych pszczół. Byłyśmy pewne, że to nasze, bo w okolicy nikt nie hodował pszczół. Ani jednego ula nie zostawili. Tak było wszędzie. Rozgrabiali wszystko co się dało.

Ks. Andrzej Chibowski: Jednocześnie w tym samym czasie były przygotowywane listy rodzin do wywózki.

Stefania Zawada: One już musiały być gotowe. Po latach znalazłam je w Internecie. Było tam nasze nazwisko. Piąta kolumna była bardzo dobrze zorganizowana. Enkawudziści wiedzieli do kogo iść.

Dioniza Choroś: Listy rodzin musiały być wcześniej przygotowane. Później strażnicy w wagonach mówili do nas: *Nie wiedzieliście, że będzie wywózka?!* Po śmierci ojca tak się bałyśmy, że nigdzie nie wychodziłyśmy. Nie widywałyśmy sąsiadów. Oni też do nas nie przychodzili. Naszymi sąsiadami byli Niemcy. Spakowali się na dwa duże, drabiniaste wozy i pojechali do Niemiec. W wigilię nasi dzierżawcy zaproponowali, żebyśmy pojechali z nimi na pasterkę. Bronia i ja skorzystałyśmy z tej propozycji. Kościół był wypełniony ludźmi. Śpiew w kościele był taki jęklivy, smutny. To nie były takie piękne, radosne kolędy.

Ks. Andrzej Chibowski: 10 lutego 1940 roku na pewno zapadł wszystkim Państwu w pamięci. Jak Pan to zapamiętał?

Józef Zawada: Przyjechali Sowieci. Trzeba było się ubierać. Załadowali nas na sanie. Zawieźli na stację. Tam znaleźliśmy się w wagonie. Było ciemno i zimno.

Ks. Andrzej Chibowski: A czy Pani Romualda pamięta ten moment?

Romualda Waluszewska: Pamiętam bardzo dobrze. Ojca zabrali do więzienia. Pilnowało go dwóch żołnierzy. Mamie dali czas na spakowanie się. Ojca spotkałam dopiero jak go wypuścili z więzienia. Znalazł nas na Syberii. Na zesłaniu sprzedawaliśmy garnitury ojca, żeby się utrzymać. Jeszcze w '39 roku tuż przed wojną przyszedł Żyd i mówi: *Niech pan kupi garnitur*. Ojciec mówił: *Nie, dziękuję. Mam dwa czy trzy garnitury. – Niech pan kupi, przydadzą się panu*. Te trzy garnitury uratowały nas od śmierci głodowej na Syberii.

Każdy sprzedawał co tylko mógł, żeby jechać na południe do tworzącej się polskiej armii w Buzułuku. Też chcieliśmy tam jechać. Ojciec, który przyłączył się do polskiego wojska, przyjechał, żeby nas zabrać jako rodzinę wojskową. Wtedy mama się rozchorowała. Ojciec nie mógł zostawić chorej kobiety i dwójki małych dzieci. Począł, dwa, trzy tygodnie aż

wyzdrowiała. Wtedy ja i mój brat rozchorowaliśmy się na tyfus. To był maj. Polskie wojsko wyjeżdżało. Ojciec był schorowany. Byliśmy w Kazachstanie, 120 km od Turkiestanu. Ojciec nam powiedział: *Idę do wojska. Zobaczymy się w Polsce*. Wyjechaliśmy z Turkiestanu ostatnim transportem do Aszchabadu. Nikogo więcej już nie wypuścili z ZSRR. Nie wiem co się stało z ojcem. Nie figuruje w spisach. Napisałam do Moskwy. Dotychczas nie dostałam odpowiedzi. Zostałam wysłana z innymi dziećmi do Aszchabadu. Pamiętam, że gryzły mnie wszy. Drapałam się. To było okropne.

Dioniza Choroś: Jak byliśmy na Syberii w posiołku, komendant obozu nic nam nie powiedział o amnestii. Młodzi zostali wysłani do pracy w lesie. Młodszych, którzy nie musieli przymusowo pracować, namawiali do pracy na ochotnika. *A co będziecie siedzieć na posiołku? Tam weselej, harmoszka wieczorami gra, można potańczyć*. Posiołek był opustoszały. Zostały tylko małe dzieci i chorzy.

W posiołku za trzykrotne spóźnienie do pracy o 10 minut karali więzieniem. Romek Skubik, sympatia mojej siostry Bronki, trzy razy spóźnił się do pracy. Skazali go na dziewięć miesięcy więzienia. Niespodziewanie po czterech miesiącach wrócił na posiołek. Zapytał nas: *czemu ten posiołek taki pusty? Czy już wszyscy pojechali do polskiego wojska? A mama: Do jakiego wojska? Coś ty zwariował? On mówi: Tworzy się polska armia*. Mama w dalszym ciągu nie wierzyła. Romek wyszedł a mama do nas mówi: *Widocznie tak go bili po głowie, że stracił pamięć*. Za chwilę Romek wraca. Wyciąga wycinki z sowieckiej gazety. Tam przeczytaliśmy o układzie Sikroski-Majski, o tym, że tworzy się polskie wojsko. Romek mówi: *Ja już w pociągu myślałem, kiedy do wojska pojedę a tutaj nic o wojsku nie wiedzą*. Chodził od baraku do baraku i czytał innym wycinki z gazety. Mówił: *ten komendant Koniow was oszukał, bo nie powiedział, że możemy wyjechać*. Wcześniej komendant podstawił naszym matkom jakieś papiery i kazał podpisać. Okazało się, że to była zgoda na to, że zostaniemy dobrowolnie na posiołku.

Ks. Andrzej Chibowski: W jaki sposób zareagował komendant na działania Romka?

Dioniza Choroś: Wtedy komendant zmiękł. Wcześniej powtarzał, że wyjedziemy z ZSRR *jak mu kaktus urośnie na dłoni*. Tłumaczył, że otrzymał informacje o układzie Sikorski-Majski, ale nie zrozumiał jej dobrze i dlatego dopiero teraz mówi nam, że możemy opuścić posiołek. Romek miał dwie siostry i brata, którzy pracowali w lesie. W końcu komendant sprowadził pierwszą grupę robotników.

Sami musieliśmy zapłacić za bilety na pociąg do Kujbyszewa. Buzułuk, gdzie tworzyła się polska armia, był tuż obok Kujbyszewa. Moja chora mama, która od prawie dwóch lat nie wstawała z łóżka, wyciągała ubrania z kufra, przypinała kartkę z ceną a ja sprzedawałam je na targu. Wyjechaliśmy pierwszym transportem a Roma drugim. Ci, którzy nie mieli pieniędzy na bilet, zostali w posiołku.

Ks. Andrzej Chibowski: A jak Pani Romualdzie udało się wyjechać?

Romualda Waluszewska: Sprzedawaliśmy garnitury ojca i inne rzeczy. Mama miała jeszcze sukienki. Na Syberii nie można było kupić żadnych sukienek.

Stefania Zawada: U nas było podobnie. W jednej rodzinie ojciec kupił kozę, żeby mieć mleko dla małego dziecka. Wydał na nią wszystkie pieniądze. Przyszedł czas wyjazdu a oni nie mieli nic do sprzedania. Wcześniej z głodu zjedli tę kozę. Ojciec poszedł z czapką prosić ludzi o wsparcie i dzięki temu wszyscy wyjechali.

Józef Zawada: Byliśmy na posiołku w Kotłasie za odnogą Dżwiny. Do Buzułuku pojechaliśmy pociągiem. Ojciec zmarł w drodze. Na jednym z postojów wyszedł z pociągu, aby kupić coś do jedzenia. Pociąg ruszył. Ojciec uchwycił się buforów i jechał tak kilkanaście godzin. Kiedy pociąg stanął, dostał się z powrotem do wagonu. Położyliśmy go na pryczy. Umierał z przemrożenia. Siedzieliśmy dookoła pryczy i płakaliśmy. Kiedy ojciec zmarł i pociąg stanął, usłyszałem: *Zawada – nieboszczyk*. Zabrali ciało ojca z wagonu. Wyrzucili je po drodze.

Dioniza Choroś: Nasz pociąg zatrzymał się raz w polu na nasypie. Niżej stały jakieś kopki. Wygłodniali rzuciliśmy się w ich kierunku. Każdy schwytał naręczą. Okazało się, że był to groch. Pociąg zagwizdał i ruszył. Wskoczyłam szybko na zewnętrzną część wagonu, ale już nie odważyłam się próbować wsiąść do środka. Wystawiłam rękę do góry i jakiś mężczyzna wciągnął mnie do wagonu.

Pamiętam też pewną zimną noc. Nocowaliśmy na brzegu rzeki Amu-darii. Ugotowaliśmy *kipiatok* (wrzątek), żeby trochę się ogrzać. Rozłożyliśmy pościel. Już prawie zasypialiśmy. Było ciemno. Patrzymy a nieopodal siedzi skulona staruszka i trzęsie się z zimna. Mama do niej woła: *Chodź pani pod nasze pierzyny*. Przyszła i tej nocy spała z nami. Była za to bardzo wdzięczna.

Później w Persji w Teheranie mama była w szpitalu polowym. Żeby tam wejść, trzeba było mieć przepustkę. Poszłam do biura po przepustkę i okazało się, że wydawała je ta staruszka, która wtedy spała pod naszą pościelą. Zapytała – *Mama chora?* – Ja mówię: *Tak*. Ucisnęła mnie. Rozpłakałam jak nie płakałam dawno. Wydała mi przepustkę. Przyniosła mi dwie puszki brzoskwiń i gruszek.

Romualda Waluszewska: Na Syberii nie było do jedzenia ani jarzyn, ani mięsa. Ksiądz słyszał o makuchu dla zwierząt?

Dioniza Choroś: Z nasion bawełny wyciska się olej a pozostałość tzw. makuch daje się dla bydła. Byliśmy tak głodni, że obgryzaliśmy makuch. Pamiętam, że raz z Bronką poszliśmy po worek pościeli, która przez pomyłkę została wysłana gdzieś indziej. Kazali nam przyjść następnego dnia. Nie chcieliśmy wracać do domu, bo było daleko. Pewna pani zaproponowała, żebyśmy przenocowały u niej. Dała nam makuchu do ssania. Potem byliśmy chore i nie wiedziałyśmy dlaczego. Makuchem karmi się bydło, które ma potrzebne to tego soki trawienne. Ludzie nie mogą go jeść. Ta kobieta mówiła, że ze swoją trzyletnią córką codziennie ssaly makuch na kolację i nie chorowały. Podobno gdy się stopniowo do niego przyzwyczajają to organizm zaczyna go tolerować.

Romualda Waluszewska: Chciałabym opowiedzieć coś o moim bracie. Miał wtedy siedem i pół roku, może osiem. To działo się na południu ZSRR, w Kazachstanie. Panował straszny głód. To było najgorsze. Mój brat miał jasne kręcone włosy, niebieskie oczy. Wszystkie Kazaszki zwracały na niego uwagę, gdyż nie widziały takiego dziecka. Chodził i żebrał. Czasem dostał pół lepieszki. Był to płaski, cienki chlebek. Mimo, że brat był głodny to zawsze przynosił jedzenie do domu i dzielił się z nami. Na Syberii cierpieliśmy głód, nędzę, ale i duchowe poniżenie.

Dioniza Choroś: Dawano nam odczuć, że pochodzimy z najgorszego narodu, że jesteśmy wrogami ZSRR. To bardzo przybijało człowieka.

Ks. Andrzej Chibowski: Co przez pryzmat tych trudnych doświadczeń chcielibyście przekazać przyszłym pokoleniom?

Romualda Waluszewska: Bądźcie wierni Kościołowi. Bądźcie ludźmi.

Stefania Zawada: Miej serce i patrzaj w serce jak powiedział Adam Mickiewicz. Pomagaj innym.

Dioniza Choroś: Moje dzieci ciągle mi mówią, że jestem taka religijna. Dlatego tak wierzę, bo w moim życiu był taki czas, że wiedziałam, że jeśli mnie Pan Bóg nie uratuje, to nikt mnie nie uratuje.

Stefania Zawada: Każdego wieczoru modłę się i dziękuję Bogu, że nas uratował z Syberii. To był cud, że wyjechaliśmy.

Romualda Waluszewska: Zwłaszcza nasz ostatni transport. Przecież to był cud Boży.

Dioniza Choroś: Ja też wierzę, że tylko Pan Bóg mógł to zrobić. W Uzbekistanie to już było dno nędzy i rozpacz. Ludzie chorowali, umierali. W 1941 roku mieliśmy wigilię. Cały dzień pracowałyśmy we trójkę. Padało. Badyłe bawełny wyrwało się jak padał deszcz. Miały jeden długi korzeń i trzeba było dobrze ciągnąć, żeby go wyrwać. Wróciliśmy do domu zmoknięte. Moja najmłodsza siostra, która została z chorą mamą, mówi: *wiecie co, będzie wigilia*. Miała jedną, cienką lepioszkę i dwadzieścia rodzynek. Podzieliłyśmy tę lepioszkę na pięć części i zjadłyśmy rodzynki. Kiedy padał deszcz z lepianek zrobionych z łąjna, gliny i stepowej trawy, lały się strumienie mazi. Tam nie było podłogi. Błoto sięgało po kostki. Ukłękłyśmy w tym błocie wokół łóżka mamy. Modliłyśmy się i płakałyśmy. Modliłyśmy się o to, żeby choć raz najeść się do syta chleba i spać w łóżku w czystej pościeli.

Tydzień później przyszedł z delegatury polski żołnierz. Miał na czapce wyciętego z blachy orzełka. Spisywał Polaków. Już nawet nie wierzyłyśmy w żaden wyjazd z ZSRR, bo każdy wyjazd prowadził do gorszego miejsca, gorszych warunków i większego głodu. W Uzbekistanie niby byliśmy wolni, ale żyło nam się sto razy gorzej niż na Syberii. Ten żołnierz powiedział nam, że przy delegaturze jest opieka społeczna i że tam wydają zupę. Moja siostra poszła tam następnego dnia i nie wróciła. Mama płakała. Siostry nie było dwa tygodnie. Mama mówi: *Dyzia, idź szukaj Broni*. Gdzie mam jej szukać? Dookoła Uzbeków, z którymi nawet nie potrafię rozmawiać. Czułam bezradność. Doszłam do stacji. Tam zobaczyłam polskich żołnierzy w mundurach. Rozmawiali, śmiali się. Szli do Shahrissabzu a ja szłam 100 metrów za nimi. W biurze zapytałam o Bronię. Była tam.

Kiedy podałam swoje nazwisko, kapitan Cembrowski powiedział: *Znam twojego ojca z wojny bolszewickiej*. Zabrali mnie do baraku gdzie były zakwaterowane Polskie Siły Kobiece tzw. pestki. Zapytał mnie: *Chcesz tu zostać?* Najpierw chciałam pójść do kołchozu i powiedzieć mamie, że znalazłam Bronię. Później zamieszkałam z siostrą. Kiedy Bronia dostała żołd, kazała mi iść do posiołka i zanieść pieniądze rodzinie, żeby nie umarli z głodu. Później Bronia wyjechała z wojskiem a ja zostałam w jej baraku.

Rano chciałam wrócić do rodziny do kołchozu. Pewien junak przyszedł i powiedział, że mam się zgłosić do biura. Tam siedział Cembrowski i powiedział: *Dziś wieczorem o szóstej odjeżdża transport cywilny. Dam ci arbę (wóz dwukołowy) i żołnierza, żeby przywieźć mamę*. Pociąg był już podstawiony. Żołnierze wnieśli mamę i dali nam woreczek chleba.

Dojechaliśmy do Krasnowodzka. Patrzyłam na łóżko i myślałam jak szybko Pan Bóg się nad nami zlitował. Mieliśmy chleb i piękne, przykryte białym prześcieradłem łóżka. Mieliśmy cztery hamaki. Później kolejni ludzie wsiadali do pociągu. Siedzieli w przejściach, na schodach. Mama mówi: *My się ułożymy we cztery na waleta na dwóch hamakach a dwa oddamy innym ludziom*. Mama tak się litowała nad wszystkimi ludźmi. Przyjechaliśmy do Krasnowodzka. Martwiłam, bo w Krasnowodzku mama musiała przejść z pociągu na statek.

Upadła. Błagała nas, żebyśmy szły na statek i ją zostawiły. Zobaczyło ją dwóch żołnierzy, którzy pomogli jej dostać się na statek. Chorzy nie mogli wyjeżdżać. Przed wejściem Sowieci sprawdzali paszport. Nie wolno było wywozić rubli. Statek był bardzo zatłoczony. Chyba Pan Bóg czuwał nad nami, bo kiedy płynęliśmy nie było wiatru, ani burzy. Na kolację dostaliśmy solone śledzie, które powodowały pragnienie a na statku brakowało pitnej wody.

W Persji ciągle opowiadałyśmy sobie nasze przeżycia. Płakałyśmy, opowiadałyśmy, słuchałyśmy. Myślę, że to był rodzaj terapii. W tamtych czasach nie było terapeutów, którzy by z nami rozmawiali, tłumaczyli. Po śmierci mamy płakałam nocami. Moja koleżanka płakała ze mną. Mówiła, że jej mama umarła jeszcze w Polsce i ona mnie rozumie. Brakowało nam rodzinnego ciepła. Mieliśmy opiekunów, cudownych nauczycieli, ale mimo wszystko opiekunka, zajmująca się w przedszkolu 20-30 dziećmi nie może dać tego co matka.

Romualda Waluszewska: Nasze wychowawczynie były bardzo dobre, ale nie było możliwości osobistej rozmowy z nimi. Nie nauczyłyśmy się rozmowy od nauczycielek i wychowawczyń. Nauczycielka miała 50 dziewcząt w grupie. Czasami opowiadała jakąś książkę, ale nie było z nią kontaktu osobistego. Kiedy skończyłyśmy szkołę to nie umiałyśmy rozmawiać z dorosłymi ludźmi.

Dioniza Choroś: W gimnazjum w Pahiatua miałyśmy dyrektorkę Halinę Zięciak. Była cudowna. Kilka dni po przyjeździe do Nowej Zelandii, rozpoczęliśmy naukę. Czasem przed weekendem dyrektorka wołała nas do biura i mówiła: *Panienki, co robimy w weekend? Musicie się zabawić.* Dawała nam pieniądze. Kiedyś dała mi 50 funtów. Wtedy to była duża kwota. Mówiła: *Urządźcie sobie imprezę.* W gimnazjum było 65 osób. Organizowałyśmy imprezy. Dyrektorka przychodziła na nie jako gość honorowy. Śpiewaliśmy, mówiliśmy wierszyki. Opowiadała nam zabawne historyjki. Za każdym razem czegoś nas nauczyła.

Ks. Andrzej Chibowski: Dziękuję Państwu za rozmowę.